NUMER 17. LWÓW, DNIA 15. PAŹDZIERNIKA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Milkowskiego 11.

G. DANIŁOWSKI.

Stare Dzieje.

Urywek z powieści **„Z minionych dni“** przedrukowany za zezwoleniem autora.

(Ciąg dalszy.)

Zrobiona wspólnemi siłami próba, stwierdziła wierność rezultatu.

— No, no! — kręcił głową doktór — trzy tysiące pięćset, jak obszył, to będzie prawie $1^1/_2$ desiatyny, trzy morgi... wystarczy! — dodał — sążeń... ale możem się skurczył, nie masz tu gdzie sążnia? — zwrócił się do Wiktorka.

— Jest na stajni, ja pana zaprowadzę.

W stajni na drzwiach Wiktorek wskazał doktorowi wrąbek. Doktór stanął na progu, przeciągnął ręką po głowie, palce jego oparły się na wycięciu. — Dobrze — rzekł, wyjął szpagat, zdjął z pomocą Wiktora miarę, i ująwszy chłopca pod brodę, mówił:

— A możebyś mi tak jeszcze, urwipołciu, pomógł wytknąć rezultat swego zadania na polu, bo samemu ciężko.

— Dziś? kiedy? — zawołał Wiktorek — i aż mu się oczy zaświeciły do tej roboty.

— Nie, jutro! Ech, ty wisusie! — Tu doktór uszczypnął go szorstkimi palcami w jędrny policzek i rzekł:

— Do widzenia!

Chłopak mimowoli pocałował starca w rękę i długo ścigał oczyma znikającą szybko w oddaleniu barczystą postać.

Nazajutrz raniutko Wiktorek stawił się w Samomękach; miał nadzieję obudzić doktora, ale się zawiódł, zastał go bowiem na podwórzu z siekierą w ręku, którą obciosywał drewniane kołki; tuż obok leżał długi, pięciosążniowy sznur.

Wiktor chciał od razu brać się do roboty, ale Postański kazał mu wprzód zwolnić popręgi u siodełka i wyjąć kasztance wędzidło.

— Koń męczy się w siodle — mówił — nie dbasz o wierzchowca, a on cię nosi; przytem licho jeździsz, zrywasz pysk, garbisz się, jak kozak, a łokcie bełtają ci się, jak u żyda; ładniebyś szarżował: z pieca na łeb!...

— Bo mnie niczego porządnego nie uczą — bąknął, łykając łzy, dotknięty w swej ambicyi chłopak.

— No, no! tylko się nie mazgaj, bo to najgorsze... Ja ci potem pokażę, a teraz bierz kołki, łańcuch i marsz! — zburczał go doktór.

Gdy odmierzono od środka domu długość sznura, Postański polecił Wiktorkowi zatknąć kołek w ziemię, wbił go sam mocniej obuchem i kazał iść dalej; w ten sposób wymierzyli w poprzek po 25 sążni w każdą stronę i po 35 sążni wzdłuż.

Potem wytknęli kołkami, rychtując pod sznur boki prostokątu, w którego środku znalazł się dworek. Granice wypadły dość wygodnie: jedna strona zajęła polne grusze, druga przeszła w pobliżu źródełka, trzecia ciągnęła się wzdłuż drogi, czwarta tylko nie posiadała żadnego naturalnego znaku.

Gdyby przesunąć ją o parę łokci, dotknęłaby olbrzymiego polnego kamienia, i Wiktorek chciał koniecznie włączyć do obejścia „tę skałę“, na

której projektował wystawić „morską latarnię“, ale doktór sprzeciwił się.

Kiedy zaś chłopak wypytywał: dlaczego nie chce? starzec rzekł ostro: — Nie nudź! a po chwili począł swoim zwyczajem głośno myśleć:

— Ile wypadnie na głowę, tyle biorę, bom również człowiek, a ziemia dzieli się tak dziwnie składnie, jakby Bóg.. Tu — ciągnął, wskazując kasztany — możnaby założyć sadek, tu... będą zagony i kartofle...

— A gdzie inspekta? — przerwał Wiktorek.

— Nie będzie wcale!

— To i melonów nie będzie?

— Nie! — odparł doktór, i idąc przez istne klomby łopuchów i bożniku, przez gąszcze piołunów i pokrzywy, w których Wiktorek ginął zupełnie, mruczał:

— Nie! jedną łopatą trudno wieś zrobić, trza będzie na początek kupić pług...

— To i konie także? — trąc bąble na poparzonych rękach, pochwycił radośnie Wiktorek.

— I konie — pisał w notesie doktór — szleje, brona, wóz drabiniasty, widły, kosa, brusek, motyka, piła...

— A bat, proszę pana!

— Niech będzie bat!

— Czterokonny, prawda? z trzaskawką!

— Nie przeszkadzaj! — mruknął doktór, i notował dalej.

Wiktorek przycichł na chwilę.

— A gdzież stajnia! — wyrwał się nagle.

— Prawda, stajnia — i począł oglądać się naokoło. — To nic! — dodał po chwili, wskazując na dom — rozbierze się tę przybudówkę i będzie stajnia; roboty nie zbraknie, dość. To i dobrze...

— O, tak, dość! — powtórzył z mocnem przekonaniem Wiktorek, — ale się zrobi, fiu, fiu, uradzimy!

— Jakto uradzimy?

— Bo ja przecież będę panu pomagał.

— A brat ci pozwolił?

— Ignacy! — powiedział dość lekko Wiktorek. — Dostałem promocyę i mogę sobie robić na wakacyach, co mi się podoba, abym się tylko na obiad nie spóźniał, bo to u nas obiad...

— Czekajno — przerwał doktór — zdaje się wypada w tych czasach jarmark w Trupcu?

— A tak, na Piotra i Pawła, pojutrze, straszny jarmark — trzepał Wiktorek. — Świń, proszę pana, co niemiara, kwik, że nic nie słychać, w przeszłym roku była menażerya i psi cyrk; małpy jeździły na pudlach, słoń grał trąbą, taką długą, jak kiszka z palcem, na harmonii; kozioł stawał na butelce, w zielonej skrzyni aligator z nad Nilu, zdaje się zdechły, ale ogromny, żółw — miał trzysta lat... Pojedziemy, ja z panem, dobrze?

— Dobrze, dobrze, ale wracaj na obiad, bo już południe — rzekł doktór, spoglądając na niebo. (Dok. nast.)

Z pamiętnika
Józia Gajka
ucznia I. klasy gimn.

O! widzę, że pan ma ochotę, mój kochany panie Tadeuszu, niech pan opowie!

A dziewczynki wołały: O tak, bardzo prosimy. I pan Tadeusz powiedział: dobrze. I wszyscyśmy siedli dookoła, a Adaś na małym stołeczku i włożył palec do buzi, a pan Tadeusz zaczął opowiadać i ja sobie zanotuję tę bajkę, bo ją bardzo dobrze pamiętam, a boję się, żebym potem nie zapomniał.

Kubuś i Jaś.

W jednej wsi, niedaleko miasta, żył chłop i miał dwóch synów: Kubusia i Jasia. Kubuś już miał dwanaście lat, ale nie był tak żywy jak inni chłopcy, powolutku chodził, powolutku wszystko robił, a jak się go kto zapytał o co, to albo nic nie odpowiadał, albo się przedtem pół godziny namyślał. Więc się z niego śmieli i szturkali go, ale on i na to nic nie odpowiadał, taki był niedołęga.

Jaś zaś to był mały chłopczyk o czerwonej buzi i wesoły, a jak chłopcy ze wsi Kubusia napastowali, to i on był z nimi, ale nie ze złości, tylko z figlów. Ale skończyły się dobre czasy, gdy ich tato wywędrował do Ameryki na robotę. Kubuś i Jaś musieli teraz u ciotki żyć, a ciotka była zła i pędziła wciąż Kubusia do roboty i beształa i mało dawała jeść. A gdy Kubuś wracał wieczorem z pola, to znów łajała, a czasem i biła, że nie zrobił czego, jak było trzeba. Ale Kubuś znosił to spokojnie i czekał, aż Jaś przyjdzie do izby, bo on aż do nocy z chłopcami się bawił. I Jaś przychodził i czasem pytał się: Kubuś, czemu ty taki smutny? A wtedy Kubuś zaczął się uśmiechać i zaraz mu było wesoło.

Raz Kubuś wracał z roboty, a wtem widzi jak jeden gospodarz wiśnie strąca, więc zaraz pomyślał: ej, jakby takie wiśnie Jasiowi smakowały i zaraz poprosił gospodarza, by mu dał trochę. Ale gospodarz ofuknął go i powiedział, że mu da, ale za pieniądze. Więc Kubuś poskrobał się po głowie, pomyślał trochę, a potem wyjął węzełek z kieszeni, tam miał w chustce 10 centów które mu ojciec dał przed wyjazdem i wziął centa i dał gospodarzowi. Gospodarz zdziwił się, ale mu rzucił garść wiśni i Kubuś prędko wrócił i dał Jasiowi, a Jaś się bardzo ucieszył i zaczął całować brata, a Kubuś uczuł się wtedy bardzo szczęśliwy i głaskał Jasia i patrzał na niego. I gdy tak patrzał na niego, przyszła mu nagle nowa myśl do głowy: Przecież ja się muszę teraz Jasiem opiekować! Przecież ja mu tylko jeden zostałem! Prawda, że jestem mały, mam dopiero 12 lat, ale przecie ja mu tylko jeden zostałem. Żebym ja tylko wiedział jak się to opiekuje.

Jaś już dawno spał, a Kubuś wciąż myślał i patrzał na Jasia zobaczył teraz, że Jaś blado wygląda, już nie tak jak rumiane jabłuszko, więc go coś bardzo zabolało o tego Jasia i znowu zaczął myśleć, co on ma robić, aż zasnął.

A rano to Kubuś poszedł do roboty jak zwykle, ale od tego czasu jeszcze mniej gadał jak dotąd, tylko zamyślał się wciąż, jakby jaki dorosły człowiek.

Zdarzyło się potem, że ciotce świnia zdechła i od tego czasu jeszcze gorzej było dzieciom, bo ciotka była teraz strasznie zła i jak Kubuś wracał z roboty, to mu Jaś nieraz skarżył się po cichutku, że go ciotka bardzo bije. To on ściskał Jasia i całował, a jak Jaś zasnął, to on płakał cicho i myślał co ma robić. Przecie nie może uciec od ciotki, bo gdzie się podzieje? Ani nie może obronić Jasia, bo czy da rady ciotce, on taki mały? Więc tylko się bardzo modlił do Pana Boga, żeby im Pan Bóg zesłał takiego anioła z dużym mieczem do pomocy i żeby ten anioł wybił ciotkę porządnie za karę. Ale anioł nie przychodził. Zato stało się co innego. Pewnego razu Kubuś, gdy wracał do domu, usłyszał w izbie wrzask, przybiegł prędko i zobaczył jak ciotka bije Jasia, bije mocno, bez przestanku.

To on zawołał: Ciotko, a czemu tak Jasia bijecie? A ciotka odwróciła się i krzyknęła: Toś odzyskał mowę, huncwocie! Już ja ta wiem, czemu biję i znowu zaczęła bić. (C. d. n.)

ALFONS DAUDET (czyt. Dode).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin'a

z Taraskonu.

(Z FRANCUSKIEGO).

XI. Odjazd. (C. d.)

Nareszcie nadszedł dzień odjazdu. Wszyscy mieszkańcy Taraskonu zerwali się ze snu o świcie — całe tłumy wyległy na ulicę. Przechadzano się tam i na powrót, grupowano się po kilka osób, rozmawiano, gwarzono. Na wszystkich twarzach malowało się gorączkowe oczekiwanie. Istne mrowisko ludzi, oblęgało dom Tartarina i ogród z boababem.

Przy ulicy, którą bohater miał przejeżdżać, wszystkie okna przepełnione były ciekawymi widzami. Kto nie znalazł miejsca w oknie — wyłaził na dach. Ulicznicy wdrapali się na gałęzie drzew. Marynarze, posługacze, kupcy, obywatele, fabrykanci, robotnicy, kelnerzy, gospodarze — wszyscy stali razem pomieszani. Nie brakło też ciekawych, którzy wczesnym rankiem przybyli już z Beaucaire.

Z każdą chwilą zwiększały się tłumy — gorączkowe zniecierpliwienie wzrastało. Wszyscy cisnęli się do domu Tartarina, tego dobrego, niezrównanego imci pana Tartarina z Taraskonu, który wyrusza naprawdę do „Turcyi" na zapasy ze lwami.

W pojęciu mieszkańców Taraskonu bowiem Algier, Afryka środkowa, Grecya, Turcya, Persya i jeszcze kilka innych krajów nosiło ogólną nazwę „Turcyi".

W tłumie przechadzali się strzelcy z dumnie podniesioną głową.

Przed domem Tartarina stały dwie ogromne fury. Od czasu do czasu otwierano drzwi i wynoszono paki i skrzynie. Każdy nowy pakunek wywierał zachwyt w tłumie: „oto jest namiot, który ochroni go od udaru słonecznego"; „oto konserwy", „oto zbroja", szeptano z podziwem.

Z uderzeniem godziny 10-tej, wzruszenie tłumu dosięgło zenitu. Ogrodowe wrota otwarły się na oścież.

— Otóż on! otóż on! — wołano z zapałem.

Tak, to był on!

Gdy przestąpił próg domu, tłum zdumiony zamilkł na chwilę.

— Turek?

— Okulary nosi?

Rzeczywiście, Tartarin przebrał się za Turka. Sądził, że tak wypada w podróży do Algieru. Ubrał tedy fałdziste białe spodnie, krótką kurtkę z metalowemi guzikami i szeroki, czerwony pas. Na głowę włożył fez czerwony z długim niebieskim kutasem. Na każdem ramieniu nosił strzelbę, ogromny nóż myśliwski zatknął za pas, przez pierś przewiesił woreczek z nabojami, a u bioder wisiała torba z rewolwerem. Z resztą — nie miał żadnej innej broni przy sobie!

Na nos wsadził ogromne niebieskie okulary w czarnej oprawie — nadawało to straszny, dziki, groźny wyraz jego twarzy.

— Niech żyje Tartarin! Niech żyje Tartarin! wiwat! — wołały tłumy. Chustki i kapelusze powiewały radośnie.

Wielki mąż uśmiechał się — ale nie kłaniał się wcale. Po pierwsze, przeszkadzały mu w tem strzelby, które nie dozwalały mu iść pospiesznie, po drugie — wszak wiedział już z gorżkich doświadczeń, jak zmiennym jest zapał tłumu!

Zwolna i dumnie wyszedł na ulicę. Obejrzał uważnie obie fury i poszedł spokojnym, miarowym krokiem w stronę dworca kolejowego.

Za nim postępował pan Brawida, burmistrz miasta, Costecalde i strzelcy. Dalej toczyły się oba wozy. Tłum ludzi zamykał pochód.

Naczelnik stacyi oczekiwał Tartarina przed gmachem. Z głębokiem wzruszeniem uścisnął mu rękę.

Pociąg pospieszny z Paryża do Marsylii nie był jeszcze nadjechał. Naczelnik stacyi zaprosił Tartarina do poczekalni. Nastąpiło czułe pożegnanie. Tartarin obiecał posyłać zabite lwy do

ojczyzny. Każdy prosił go o jedną skórę — Tartarin zapisywał sobie nazwiska w notesie.

Spokojny, ugrzeczniony, łagodny, jak Sokrates, gdy wychylał zatrutą czarę, Tartarin z każdym rozmawiał, dla każdego miał dobre słówko i uśmiech gotowy. Wszystkich obywateli ogarnęło wzruszenie. Aptekarza gryzło sumienie, że znęcaniem się zbytniem nad Tartarinem, doprowadził go do podróży. Posługacze opierali się o ściany i płakali po kątach głośno. Za drzwiami poczekalni grzmiały wciąż okrzyki:

— Niech żyje Tartarin!

Dzwonek zabrzmiał.

— Wsiadać! — krzyknął konduktor.

— Żegnaj nam Tartarinie! żegnaj!

— Bywajcie zdrowi! — wyszeptał wielki mąż i ściskał pana Brawidę. O! jakżeby chętnie przytulił całe Taraskon do piersi!

Wsiadł do przedziału, w którym znajdowały się przeważnie panie. Nieszczęśliwe! omal, że nie pomarły ze strachu na widok Turka uzbrojonego w strzelby, nóż i rewolwer!

XII. Na okręt.

Słońce świeciło wesoło w dniu pierwszego grudnia. Łagodnaż to zima prowensalska! *) W samo południe zdumieni mieszkańcy Marsylii obaczyli rzecz niesłychaną: Turka! jakiego nie widzieli dotąd, mimo, że nie mało ich w porcie się uwija. Turek zbrojny w dwie strzelby, nóż i rewolwer!

Był to Tartarin z Taraskonu, za nim postępowała gromada posługaczy z pakunkami. Szedł śmiało w stronę portu. Miał odpłynąć do Afryki na okręcie „Żuaw“.

W uszach dźwięczały mu jeszcze entuzyastyczne pożegnania współobywateli. Widok morza, okrętów, blask południowego słońca — wszystko to dodawało mu animuszu, to też kroczył uroczyście z dumnie podniesioną głową. Nie zdejmował strzelb z ramienia — był ciągle w pełnym rynsztunku. Roztwierał szeroko oczy i patrzał z podziwem na wszystkie cuda, które ukazały mu się nagle w Marsylii. Zdawało mu się, że śni. Czyżby urzeczywistniły się baśnie z tysiąca i jednej nocy? Oto ogromny bór masztów — tam tłumy żagli kołyszą się nad wodą, powiewają flagi wszystkich państw świata.

Na brzegu gwar, ścisk, ciżba prze naprzód. Ludzie wołają, krzyczą, śmieją się, znoszą ciężary, biegają, pędzą, wchodzą do małych zakopconych budek, w których sprzedają prowianty. W jednych budkach krzykliwy kupiec sprzedaje małpy, inny znów piskliwe papugi. Tu dostać można płótna — tam świecidełek. Tu ubrania — tam muszle. Tu buty — tam ryby, małże i raki. Gdzie spojrzeć, wznoszą się stosy przeróżnych towarów.

*) Prowincya południowej Francyi, w której leży Marsylia.

Tartarin stał jak oszołomiony. Okręty przypływały i odpływały — ruch wzmagał się, to ustawał. Ale krzyk, hałas, gwar w porcie nie zamilkał nigdy. Wzmagał się niekiedy odgłosem trąbki fortecznej, a wtedy wiatr porywał wszystkie te odgłosy, gwary, rozmowy, krzyki, nawoływania, dźwięk trąbki, huk spadających ciężarów, turkot maszyn — i wił z tego przedziwną muzykę.

Chciałoby się przypiąć skrzydeł i ulecieć z wiatrem w dalekie, dalekie strony.

Wśród dźwięków tej hałaśliwej muzyki, Tartarin z Taraskonu wsiadł na okręt i odjechał w dalekie kraje tam, gdzie miał polować na lwy.

(Koniec części pierwszej).

(C. d. n.)

Nimfy i rusałki.

(Dokończenie),

Przecudne istoty występowały z ciemności. Płynęły lekko w powietrzu, bez ruchu zatrzymywały się w promieniach księżyca, to znów znikały albo naraz rojnie a bez szelestu wysypywało się ich całe stadko do białych gołębi podobne na łąkę z chmielu, gdzieby stopa dziecka nawet nie mogła się utrzymać.

Śliczne dziewczęta, pochylając ku sobie główki, brały się za ręce i tańczyły. Stefa patrzyła na ich wdzięczne postaci i w oczach jej się ćmiło od ich rozwiewanych szat bladozielonych i bladoniebieskich, lub delikatniej różowych od jutrzenki. Księżyc ubierał je pięknie swemi promieniami i wraz ze Stefą, tylko że z większej znacznie wysokości oglądał te dziwy.

Jak długo to trwało? — Stefa nie wiedziała. Kiedy się ocknęła, zniknęło wszystko; ona i księżyc spoglądali na puste, a jakby jeszcze lekko drgające pokrycie gaju.

Zsunąwszy się z drzewa, chyłkiem biegła do domu; skorzystała z otwartego okna w swoim pokoiku i zasnęła w łóżeczku.

Nazajutrz ku zdumieniu wszystkich w rozmowie przy obiedzie, okazało się, że Stefa nie dotrzymywała towarzystwa swoim gościom. Zaczęto jej pytać, gdzie przebywała? Wobec piąto i szóstoklasisty i mnóstwa dorosłych wstyd było Stefie powiedzieć: siedziałam w swojem „krześle“, bo zaczętoby się wtedy na dobre jej rozpytywać i śmiać się dopiero!

Westchnęła biedna Stefa i zamiast odpowiedzi wyraziła myśl, która jej spokoju dawno nie da-

wała: Czemuż nie żyjemy w dawnej Grecyi! Jaka szkoda, że nie mamy ani rozmaitych bogów, ani nawet dryad i nimf po naszych lasach!

Przy stole wesoło się roześmieli ze strapienia Stefy.

Ach! Jużby wolała była przyznać się do łażenia po drzewach, niż dać się tak ze swoich myśli wyśmiewać!

Tylko bona z francuskiego klasztoru nie podzielała ogólnej wesołości, lecz przeciwnie, zachmurzona zapytała Stefy, czy z katechizmu dobrą ma klasę i czy ksiądz katecheta zawsze z niej zadowolony?

Jeszcze nie zdążyła Stefa odpowiedzieć, kiedy usłyszała wśród śmiechu obecnych dobrotliwy głos wujaszka.

Czy ty, dziecino, myślisz, że naprawdę były w Grecyi kiedyś te duchy leśne, owe nimfy, czy dryady i ci wszyscy bogowie, o których zapewne słyszałaś na lekcyach profesora K. — Bo on u was wykłada? Nieprawdać? Oj te młode główki, jak im nie wiele potrzeba, żeby uwierzyć w nieistniejące i niebywałe rzeczy! Upewniam cię, drogie dziecko, że nigdy żadnych nimf ani dryad nie było, ani wszystkich tych duchów, w które do dziś poganie wierzą, a wierzą, że duchy mieszkają obok nas i wszędzie i nawet mogą w nas samych wstąpić te niewidzialne istoty.

Niewidzialne? — Stefie przemknęła myśl: a ja je przecież widziałam. Księżyc świecił tak pięknie... Widziałam...

Bojąc się wywołać nowego śmiechu, Stefa milczała.

Niejasne obrazy z wczorajszego wieczoru przypomniały się jej wyobraźni. Niepodobna się z niemi rozstać. To musiało być prawdą!... ale nie, wujaszek mówi, że n i g d y p r a w d ą n i e b y ł y te nimfy. A więc skądżeby się tak z niczego ludziom wyobraziły?

Obiad się skończył, Stefa spiesznie podziękowała rodzicom i całemu towarzystwu. Zdawało się jej, że cokolwiek sobie jeszcze z niej wszyscy podżartowują i dlatego chciała się usunąć czemprędzej.

Chodzić w bliskości parku nie chciała, udała się w innym kierunku, daleko przez pola. Niwy, pokryte kłosem dojrzewającego żyta, złociły się w słońcu, gdzieniegdzie miedze brały zboże jak w zielone ramy. Ani maków, ani bławatków niekiedy kąkąl ze zwiniętemi płatkami, trzymający się ziemi, skulony od upału. Stefie się zdaje, że płynie wśród morza. Pochyla się ku niej łan cały, szumi, odchyla się na prawo, daleko, daleko, jak okiem sięgnąć, błyszczy się fala zboża, wiaterek ugina kłosy, a te mkną do białej sukni Stefy, zasłaniają całą.

Stefie dobrze i wesoło nie widzieć nikogo w ogromnej przestrzeni, toteż idzie wciąż naprzód, to bruzdami, kędy ledwo przejść może, to miedzami znacznie szerszemi.

Raptem: krzyk przeraźliwy!

— „Ratuj Matko Boska!

— Zgiń, tfu, przepadnij!

— W imię Ojca i Syna!“

* * *

Stefa zamarła z trwogi.

Wrzask człowieka, którego nie spodziewała się zobaczyć, leżącego na miedzy, tak przeraził ją, że stała nieporuszona, kiedy tymczasem wieśniak, gramoląc się z ziemi, pozdrowił ją grzecznie i usiadł spokojnie.

— A ja, durny, rusałki-m się przestraszył, a to nasza jasna panienka!

Stefa oprzytomniała i z ciekawością popatrzyła dookoła.

— Rusałki, powiadacie dziaduniu?

— Niema jej, niema, chwalić Boga, ale one tak chodzą o tej porze wśród żyta, a najbardziej, kiedy miesiąc świeci. A kto taką boginkę spotka umrze nim...

— Ależ dziaduniu, to wszystko zabobony, nie prawda.

— To paniusia nie wierzy, że z wody rusałki wychodzą a idą między żyto, jak dojrzeje? Chociaż księża mówią, że to nieprawda, ale „taki“ prawda. A z czego Wasyl umarł nagle zeszłego roku?

Opowiadał przed śmiercią, że zobaczył rusałkę, ot taką białą pannę z rozplecioną kosą do ziemi, szła i uśmiecha się. I panusia się śmieje? I za cóż ze mnie starego?

Państwo w książkach uczone, to w to nie wierzą. ale ja prosty chłop, mówię, com słyszał od ojców, a chociaż dziękować Bogu, rusałki-m dotąd nie widział i może, da Bóg, nigdy nie obaczę, to co się nastraszyłem, to nastraszyłem panuńci w tej białej sukience, tak zdaleka ode dworu nie poznawszy.

— Bogdajbyś była zdrowa panienko, a nie gniewajcie się na starego, że was nie pozdrowił po chrześcijańsku odrazu. Niech będzie pochwalony!

— Zostawajcie zdrowi, dziadku.

Kiwnęła główką Stefa i spostrzegłszy teraz, że naprawdę za daleko odeszła od dworu, zawróciła, po drodze tak myśląc: oj! żebym to ja tylko, tak jak wczoraj np. była niemądrą, ale widzę, że to dużo musi być ludzi na świecie, którzy jeszcze mniej się odemnie uczyli. A może się nieraz uczą takich rzeczy, które im wcale nie pomagają do zrozumienia tego, co się w nich samych dzieje i około nich. Nie pojmują, skąd biorą się ich myśli i wydarzenia, na które patrzą niewłaściwie wynajdując dla nich przyczynę. Uczeni podobno już tyle rzeczy wytłómaczyli z niepojmowanych dawniej nawet przez ludzi bardzo wykształconych.

O, jak tylko dorosnę, czytać będę grube, mądre książki i wszystkim chłopom wytłómaczę, że niema tak samo rusałek jak i nimf i wszystkich tych duchów powymyślanych przez ludzi.



ZABAWY.

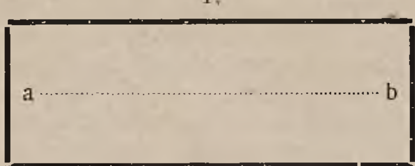
1) GRA TOWARZYSKA.

Dwie albo trzy osoby biorą arkusz papieru regularnie kropkowany. Każdej z nich wolno po kolei narysować jedną kreskę od kropki do kropki. Kreski mają być poziome lub pionowe — skośnych kreślić nie wolno. Z czasem tworzą się małe kwadraciki z tych kresek. Kto kwadracik zamknie, pisze w nim początkową literę swojego imienia. Każdy powinien się starać o to, by mieć jak najwięcej kwadracików — kto ma najwięcej kwadracików, ten wygrywa.

2) ŁAŃCUCH Z BILETU.

Staś umiał najrozmaitsze gry i zabawy. — Dowcipny i wesoły był chłopak, to też lubiano go bardzo. Zosia i Mania, cioteczne siostry Stasia, nie mogły się wprost doczekać niedzieli, t. j. dnia, w którym do nich przychodził.

1.



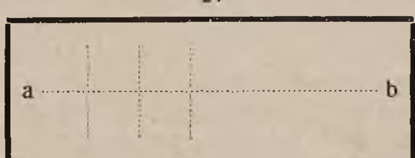
Razu pewnego miały się dzieci bawić w pierścionek, ale nie mogły znaleźć sznurka.

Wiecie co, dajmy pokój temu — rzekł Staś — a za to ja wam pokażę coś ładnego.

— Co? Co? — pytały zaciekawione dziewczynki.

— Zobaczycie! — rzekł Staś tajemniczym tonem. — Poproszę tylko wujaszka o bilet wizytowy.

2.



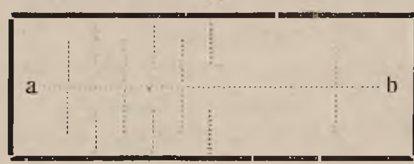
— Bilet wizytowy? do czego?

— Zrobię zeń łańcuch tak wielki, że zmieścimy się doń wszystko troje.

Dziewczynki popatrzały z niedowierzaniem.

Staś wziął bilet wizytowy i ostrożnie przeciął go w samym środku *a—b* jak to pokazane jest na rycinie. Następnie zrobił cięcia prostopadłe do pierwszego ale

3.



nie dochodząc do samych krawędzi. Cięcia te robił dość gęsto. Dla ułatwienia rysunku przedstawiamy tylko 3 takie cięcia. Potem pomiędzy temi cięciami zrobił inne od krawędzi biletu ku środkowi, ale nie dochodząc do środka. Gdy to ukończył — bilet wizytowy przemienił się w istny łańcuch, w którem dzieci wygodnie pomieścić się mogły. Wielkość łańcucha zależy od gęstości cięć. Trzeba oczywiście postępować bardzo ostrożnie, bo najmniejsze zadarcie może popsuć całą robotę.



Zagadki.

Za rozwiązanie zagadek przeznaczamy kopertę strzelających obrazków.

Szarada

nadesłana przez Karola F. z Tarnopola.

Pierwsze i drugie do czynów zagrzewa,
Drugie i trzecie, wyrabiają z drzewa,
Całe drewniane, małe użyteczne
Pali się łatwo, więc jest niebezpieczne

Figielek

nadesłany przez Białą Lilijkę ze Lwowa,

Napisać 1.000.000 sześcioma znakami.

Łamigłówka

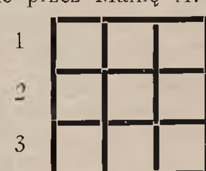


nadesłana przez Olesia P. z Tarnopola,

W twierdzy czworobocznej znajduje się 300 żołnierzy. Dowódca musi ich tak rozstawić, aby na każdym z wałów stało 100 obrońców.

Zagadka kwadratowa

nadesłane przez Manię H. z Przemyśla.



1) poeta
2) owad
3) siedziba dzikich zwierząt.

Szarada

Leona M. ze Stanisławowa.

Tak się kłania bobo mały
Dodaj „w“ = ptak wspaniały,
Dodaj „szport“ = pozwolenie,

Dodaj „rkan“ — ogrodzenie,
Dodaj „s“ — to opaska,
Dodaj „tyk“ — zwykła laska,
Dodaj „jac“ — to zabawny
Dodaj „ryż“ — miasto sławne,
Dodaj „uza“ — jest przestanka,
Dodaj „wilon“ — to altanka,
Dodaj „mięć“ — dar to boski,
Dodaj „dwa“ — miasto włoskie;
Twoja mama — dodasz „ni“;
Teraz wszystko zgadnij mi.

Rozwiązanie zagadek Nr. 15.

I.

Zagadka.

Było troje rodzeństwa — dwóch chłopców i jedna dziewczynka.

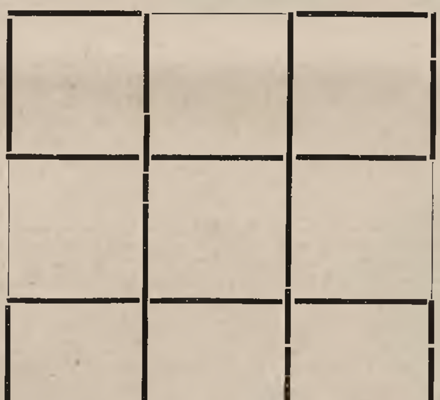
II.

Szarada

ta — to

III.

Łamigłówka.



IV.

Szarada.

Ja — ma — ga — ta

Rozwiązanie zagadek Nr. 16-go:

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Romcię Z. ze Lwowa:

1) Rama
2) Europa **Ren**
3) Numer **Aar**

Szarada literowa

nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa

Promyk.

Zagadka nadesłana przez Manię H, z Przemyśla:

Lód.

Trafne rozwiązanie zagadek nr. 16. nadesłali: Adalbert B. z Tarnopola, Karol F. z Tarnopola, Mania H. z Przemyśla, Jadwisia J. ze Lwowa, Jan K. ze Zwierzyńca, Biała Lilijka ze Lwowa, Leon M. ze Stanisławowa, Lorcia i Brońcia N. z Tarnopola, Oleś P. z Tarnopola, Marcel S. ze Zaleszczyk, Staś S. z Przemyśla, Romcia Z. ze Lwowa, Sabincia A. z Tarnopola, Tosia S. ze Lwowa, Janka S. z Rzeszowa, Bronisława H. z Kołomyi, Lolo G. z Tarnopola,

Nagrodę dostaje Jan K. ze Zwierzyńca.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Z powodów technicznych ilustracyi w tym numerze wyjątkowo dać nie możemy.

Marcelkowi S. w Zaleszczykach. Dziękujemy Marcelkowi za miłą kartkę i przepraszamy za spóźnienie. Stało się to z przyczyny od Redakcyi niezależnej i spodziewamy się, że to się już więcej nie powtórzy.

Białej Lilijce we Lwowie. Serdecznie dziękujemy za liczne zagadki i list. Cieszymy się, że Lilijka tak mile wakacye spędziła w pięknej okolicy nad Wisłą. Przygody imci pana Tartarina są dosyć długie — bardzo nam miło, że się Lilijce podobają.

Jance S. w Rzeszowie. Winszujemy Jance postępów w nauce. Wśród Czytelników „Promyka“ jest sporo koleżanek i kolegów Janki z gimnazyum.

Tosi S. ze Lwowa. Łamigłówki umieścić nie możemy, bo *sz* w jednej kratce trudno rozwiązać. W każdej kratce powinna być tylko jedna litera. Może Tosia wymyśli inną zagadkę? Bardzo się nią ucieszymy.

Kącik dla małych dzieci.

W szkółce wiejskiej.

Było już ciemno i późno, wiatr świszczał, deszcz padał, a w piecu paliło się już, aby w pokoju było ciepło. Tatuś mówił, że w mieście może jeszcze nie palą w piecach, bo tam jest dużo kamienic, jedna stoi przy drugiej i jedna drugą osłania od wiatru. Ale u nas na ws domek stoi sam wśród pól, więc zimno by w nim było bardzo, gdyby nie palono pilnie w piecu.

Mamusia pomagała tatusiowi poprawiać zadania wiejskich dzieci, a Marynia i Romuś bawiły się same jakiemiś papierkami na podłodze. Najczęściej tak się składało, że dzieci musiały się same bawić. Rano mamusia zajętą była

w kuchni, a tatuś w szkółce, po obiedzie znów rodzice gospodarstwa doglądać musieli, a dzieci same grzecznie się bawiły. Czasem zaprzęgały krzesełko niby konika, czasem ustawiały kolej z krzeseł. spiewały, rysowały, dość, że nie nudziły i nie sprzeczały się nigdy. Były to grzeczne dzieci. Najlepiej lubiły usiąść sobie na podłodze i słuchać „muzyki“, jak to same nazwały.

Muzyki? Któżby to muzykę robił w szkółce wiejskiej dla dwojga małych dzieci, gdy nikogo w domu, prócz nich nie było.

Ćwir - ćwir, ćwir - ćwir odzywało się z za pieca.

— Co to?

— Może ptaszek?

Ptaszek w piecu? — jeszcze nie widziałam.

Dzieci otworzyły drzwiczki z pieca i zaglądnęły. W piecu nie było niczego. Zaglądnęły za piec — i tam niczego nie było.

Romuś usiadł pierwszy na swoje miejsce na podłodze i rzekł: „Jakaś piecowa muzyka“.

Roześmiali się oboje serdecznie na ten pomysł.

Ćwir-ćwir, ćwir-ćwir, rozlegało się przez cały dzień prawie i przez całą noc za piecem.

— Ktoś ty?

— Ćwir, ćwir.

Nareszcie dzieci też ćwierkać poczęły i tak zrobiła się cała muzyka śmieszna, dziwna „piecowa“ — jak powiedział Romuś.

Teraz tatuś był w domu i znowu muzyka się rozpoczęła, więc dzieci przyskoczyły do niego.

— Tatusiu, co to tak ćwierka?

— Świerszcz — odpowiedział tatuś.

— Co to jest świerszcz?

— Pamiętacie przecież, jak wyglądają polne koniki, które łapaliście w lecie na łące, takie zielone, skaczące wysoko owadki?

— Pamiętamy.

— Otóż świerszcz zupełnie podobnie wygląda, tylko jest dużo mniejszy od polnego konika, ot taki: (Tu pokazał tatuś palcami, tak na półtora centimetra) i jest bronzowy, nie zielony, jak polny konik.

— A po co on siedzi za piecem?

— A czemu ty siedzisz w domu? — zapytał tatuś — bo ci zimno jest na dworze. Otóż i on marznie na dworze, więc znalazł sobie malusią szczelinkę w murze i mieszka sobie w niej. Na dworze teraz nie ma co jeść, a u nas zawsze znajdzie sobie jakieś okruchy.

— Czy nie możnaby go zobaczyć? zapytały dzieci.

— Bardzo trudno; on rzadko wychodzi ze swojej norki i pewno nie wtedy, gdy czuje ruch w pokoju, ale może kiedyś to się nam uda.

— Świerszcz ma cztery skrzydełka, zupełnie, jak polny konik lub chrząszcz — opowiadał tatuś dalej. Górne skrzydełka są twarde, a dolne mięciuchne. Górne są dłuższe od jego ciałka. Pocierając prawem górnem skrzydełkiem o lewe, świerszcz ćwierka.

— Tak? to on nie buzią ten głos wydaje? To on tak gra jednem skrzydełkiem na drugiem, jak smyczkiem na skrzypcach prawdziwy jakiś muzykant?!

— Tak jest, jest mu ciepło i dobrze, więc się tak radośnie porusza.

— Piecowy muzykant! piecowy muzykant! — wołały dzieci, skacząc koło pieca i szukając, czy kryjówki świerszcza nie zobaczą, Ale nie udało im się to.

— Ćwir - ćwir - ćwir — odzywało się bez ustanku wesołe stworzonko.

Dzieci polubiły bardzo tego świerszczyka za piecem i troszczyły się tylko o to, żeby w lecie nie uciekł od nich na pole.

Wiejska kapela.

Żywo.



Kaczka kwacze, kracze wrona
I gęś gęga przestraszona,
Koza meczy, owca beczy,
A na płocie sroka skrzeczy, Dana itd.

Wróbel ćwierka, dzięcioł puka,
Kukułeczka w lesie kuka.
Bocian w gnieździe swem klekoce,
Żaba w stawie zaś rzegoce, Dana itd.

Kogut pieje kukuryku,
Gołąb grucha w gołębniku,
Kura gdacze zniósłszy jaje,
Indyk indyczęta łaje. Dana itd.

Na przemianę psy szczekają.
Konie rżeniem się witają,
Krówka w stajni porykuje,
A wół basem jej wtóruje. Dana itd.

By muzyce dodać siły,
By jej głosy się zgodziły,
Młocki na boisku stają,
W takt cepami przybijają. Dana itd.

Wydawc. i odpow. redaktorka: Jadwiga Czajkowska. Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.